

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

3 — Nowi pasażerowie przybyli w ostatniej prawie minucie — stara kobieta z małym chłopczykiem. — Z chłopczykiem?

— Tak, i to takim, który obudził moje współczucie. Potrzebowałby bowiem bardzo leczenia w moim zakładzie.

— Tak?!

— Niestety! biedne dziecko — a kobieta ta nie jest jego matką. Dostała go na wychowanie, a teraz trzyma z litości.

Irena przewracała w milczeniu kartki.

— Kocham bardzo dzieci — rzuciła po chwili z uśmiechem, w którym przebijała się melancholia. — Zobaczę tego małego chłopaczka, choćby dla tego, aby zabić trochę nudy podróży.

Odłożyła ilustrację i wyszła na pokład.

ROZDZIAŁ IV.

Starsza kobieta, o której lekarz opowiadał, wyszła właśnie była z przeznaczonej dla niej kajuty znowu na pokład, prowadząc swego pupila. Była ubrana bardzo prosto, choć bardzo porządnie, podobnie i chłopczyk, który wyglądem swym robił bardzo przykre wrażenie. Miał bladą, zapadłą twarz, chudziutkie rączki i nóżki, oraz zupełnie głupi wyraz jasnych, jakby wypłowiałych oczu.

Irena podeszła szybko do obojga, uśmiechając się uprzejmie i z przyjaznym spojrzeniem.

— Czy to jest to biedactwo? — spytała współczującym głosem, gładząc dziecko po policzku. Dr. Burger przyszedł za nią i stanął obok.

— Tak, to jest ten chłopczyk — odpowiedział zamiast piastunki, która właśnie rozmawiała z panem Gelbke, owym małym, starszym obywatelem.

— Mój Boże, jakżeż nędznie wygląda! Ile lat ma ten chłopaczek, proszę pani?

— Pięć.

— Pięć? — wygląda o wiele młodziej. Najwyżej możnaby go liczyć na trzy. Jak się nazywa?

— Walter Fredeking.

Irena wyjęła kawałek cukru z torebki i pokazała małemu.

— Chodź do mnie, Walterze, patrz, co mam.

Mały dotychczas patrzył przed siebie ogłupiałym wzrokiem; obce otoczenie, obcy ludzie i głosy zupełnie nie oddziaływały na to biedne dziecko, duchowo tak upośledzone. Bał się tylko, ale na nic nie zwracał uwagi.

Kiedy jednak Irena zaczęła przemawiać doń swoim miłym, melodyjnym głosem, podniósł głowę i spojrzał na nią. Odblask rozradowania przewinął się przez jego twarz.

— Mamo — zawołał, wyciągając do niej ręce.

Irena zarumieniła się aż po włosy, stara piastunka roześmiała się głośno i dała małemu lekkiego klapsa.

— Walterku, osiołku, to nie twoja mama. Przepraszam panią bardzo, on zawsze woła, że widzi swą mamę, ile razy spotka ładnie ubraną, młodą osobę.

— Może jestem podobna do jego matki — zauważyła Irena, trochę zmieszana.

— Broń Boże, panienko! Ani trochę. Ona jest przynajmniej o dziesięć lat starsza. Zrobił mi to dzisiaj już kilkanaście razy wobec innych kobiet, które odzywały się do niego.

— Nawet zupełnie zdrowe duchowo dzieci, ma się rozumieć bardzo małe, często przecież wołają na obcych ludzi „tata” lub „mama” — wmieszał się do rozmowy p. Gelbke, gładząc chłopca z współczuciem po głowę.

— Bardzo słuszną uwagę — potwierdził Robert.

Irena usiadła obok opiekunki chłopca i wzięła dziecko na kolana.

— Chodź do mnie, moje biedne serduszko, owszem mów mi „mama” — zaczęła serdecznie przemawiać do malca. — Pani nie jest jego matką? — zwróciła się do swej sąsiadki.

— Nie, proszę pani. Nazywam się Haynau, mój mąż jest sternikiem i pracuje od pewnego czasu na angielskim okręcie. Przeniósł się dlatego do Liverpoolu, a ja robię teraz to samo, aby razem z nim zamieszkać.

— Pani jedzie jednak z Rotterdamu?

— Tam miałam się z nim spotkać i razem udać się do Anglii na jego okręcie. Niestety opóźniłam się o kilka dni. Tyś temu winien, smarkaczu —

zwróciła się do małego, pociągając go lekko za ucho. — Walter był chory, nie mogłam więc wyruszyć w drogę. Kiedy w końcu przyjechałam do portu, mojego okrętu już dawno nie było. Kapitan jego spieszył się. Odpłynęli, a dla mnie zostawił wiadomość, abym korzystała z pierwszej okazji i przybyła do Liverpoolu.

— Czy rodzice dziecka żyją? — dopytywał się staruszek rentier.

— W połowie tylko, proszę pana. Ojciec umarł wnet po urodzeniu się dziecka, matka poszła na służbę. Cóż miała robić z małym dzieciakiem? Oddała mi na wychowanie, ale płaci tak mało, że nie wiele mam z tego.

Ostatecznie przyzwyczaiłam się do dzieciaka, ale gdyby się ktoś znalazł, ktoby dał mu lepszą opiekę niż moja, tobym...

— W takim wypadku odstąpiłbyście dziecko? — zapytała Irena.

— A zapewne, proszę panienki. Przecież byłby to mój obowiązek i powinność.

— A matka?

— O, ta ucieszyłaby się, gdyby się pozbyła kłopotu. To kobieta bez serca.

— Jakto, kobieta bez serca? — zawołała oburzona młoda dziewczyna.

— A tak, panienko — dlatego też ostatecznie zdecydowałam się dzieciaka zabrać ze sobą. Mój mąż też go lubi, szkoda, że tak mało rozwinięty, mam jednak nadzieję, że ten stan jego jeszcze się poprawi. Duchowo tak jest rozwinięty, jak dziecko dwuletnie.

— A może był za lichy odżywiany? — wtrącił dr. Burger.

— Co pan sobie myśli? Wszystko robiliśmy, co tylko było można. Nie, o co innego tu chodzi. Jego ojciec...

— Mam jeszcze kawałek ciastka z obiadu — przerwała Irena. — Patrz Walterku, to bardzo dobre.

— Smakuje — odpowiedział chłopiec zadowolony.

— Czy jestem twoją mamą, gdy daję ci ciastko?

— Mama, mama — cieszył się dzieciak, ale nawet ta jego radość była bardzo bolesna, gdyż w śmiechu jeszcze bardziej występowała jego głupkowatość, niż była widoczna w jego zachowaniu się.

— Biedne, nieszczęśliwe dziecko — westchnęła młoda dama, a dr. Burger zauważył łzy w jej oczach.

— O panie doktorze! — zwróciła się po chwili do niego — czyż to nie straszny widok?

— Sam Bóg to wie — odpowiedział poważnie.

— Dlaczego jednak tak być musi? — zawołała Irena wzburzona.

— Nie pytajmy, na co i dlaczego, to do niczego nie doprowadzi. Starajmy się tylko złe zwalczyć, gdzie je spotkamy. Niestety, spotykamy je wszędzie i pod różnymi postaciami.

— Ma pan rację. Czy jednak sądzi pan, że leczenie u pana pomogłoby cośkolwiek małemu?

Robert zaprzeczył głową.

— Nie?

— Chłopak ma słaby umysł, nie tylko jest mało rozwinięty, proszę pani. Widocznie jest on ofiarą dziedziczności. Ojciec tego dziecka musiał być prawdopodobnie pijakiem.

Irena odwróciła się, w wyrazie twarzy ukazało się przygnębienie, jakie zwykle opanowuje nas, gdy zaczniemy zbyt głęboko zagłębiać się w dziedzinę życia ludzkiego.

Zamyślenie to i współczucie nadało jej postaci słodki blask nowego piękna. Robert pochłaniał ją prawie wzrokiem, po raz pierwszy czuł, że obraz jej odbija się w jego sercu nie tylko jako sympatyczne zjawisko. Nie, on wrył się tam głębokimi liniami. Czuł, że w jej obecności traci całą swoją swobodę.

Dlaczegoż inaczej miałyby jego, który zawsze wobec zewnętrznych rzeczy był taki obojętny, tak bardzo pociągać zgłębienie jej tajemnicy? Prawie dotykalnie bolesną troskę odczuwał na myśl o jej moralnej czystości. Żadna zmaza nie powinna jej dotyczyć. To też przysięgał sobie w duszy wierzyć silnie w to, że jeśli ona istotnie ucieka przed ludźmi, to raczej jest ofiarą a nie winowajczynią!

Czyż nie miał w ostatnich godzinach tyle dowodów jej dobrego serca i jej szlachetności? Od wagę jej i poświęcenie widział już u łóża dr. Amarella. Teraz miał przed sobą inną stronę jej charakteru, współczucie z niedolą tej małej istoty, która opuszczona przez matkę, pozostawała pod opieką tej starszej kobiety.

— Współczuję bardzo z tym biedakiem — oświadczyła i z serdeczną troską zajęła się malcem. Wzięła go od niańki na ręce i nosiła. Malec był bardzo lekki. Wreszcie usiadła w cieniu i posadziła go sobie na kolanach. Z kuchni okrętowej przynosiła mu łakocie, uczyła go słów i kazała się nazywać „mama”.

Wszyscy pasażerowie okazywali kalece wielkie współczucie, ale ona prześcigała w tem wszystkich. Współzawodniczył z nią tylko p. Gelbke, które wydawał się być również wielkim przyjacielem dzieci, i gdzie tylko spotkał chłopca, zawsze częstował go cukierkami.

I on starał się rozmówić z dzieckiem. Nie mógł tego jednak dokazać. Przez podarunki zjednał sobie zaufanie jego, ale słownik biedaka był tak skąpy w wyrazy, że zamykał się w kilku dźwiękach, które wyrażały rzeczy najlepiej przez niego pojmowane.

— Walterze, uważaj — zwrócił się do dzieciątka, pokazując mu cukierek. Mały podniósł głowę i wyciągnął rękę do słodczy, którą bardzo lubił.

— Czy to jest twoja mama? — zapytał Gelbke ze śmiechem, wskazując na Irenę, która trzymała dziecko na kolanach.

— Mama, powtórzył Walter, a na ustach jego pojawił się lekki półśmiesz.

— A przecież to nieprawda — ciągnął dalej rentier, bardzo zadowolony. — To jest twoja mama — wskazał na panią Haynau, która właśnie usiadła obok Ireny. — To ty twojej własnej matki nie umiesz poznać, mój mały? Prawda, że to jest twoja mama?

— A-na! — wysylabizował niewyraźnie Walter. Pojedyncze zgłoski wymawiał tak szeroko, że robiło wrażenie, jakby rozgniatał je językiem o podniebienie.

— Ana? Mama? Nieprawdaż mama?

— Ana.

Młoda dziewczyna mimowoli odsunęła się niechętnie z chłopcem o kilka kroków.

— Pan dręczy to biedne maleństwo, panie Gelbke.

— Tak pani sądzi? — roześmiał się. — Przypuszczam, że właśnie dobrze działa na niego, jeśli się umysł jego stara pobudzić do pracy. Ma się rozumieć, że trzeba się dostosować do jego poziomu. Jak widać, niewiele zadawano sobie dotychczas z nim pracy.

Właśnie nadeszła żona kupca z Frankfurtu z córką i przyłączyła się do rozmawiających.

Walterze — a oto! twoja mama! — dogadywał Gelbke uparcie — patrz, ta panna tutaj...

— Panie Gelbke! — zaprotestowała panienka oburzona.

Walter spojrzał bezmyślnie na wskazaną mu osobę, nie poruszył się jednak.

— A czy ja jestem twój tata?

— Ta — ta.

Pani Haynau zabrała w tej chwili dziecko i odeszła z nim kilkanaście kroków.

— Pan doprowadzi jeszcze do tego, że dzieciak się rozplacze — usprawiedliwiała się z uśmiechem — poczem Gelbke odszedł, mrużąc, na drugą stronę pokładu.

Scena ta rozgrywała się w południe trzeciego dnia podróży. Wieczorem zaczęli pan Gelbke dra Burgera, w chwili, gdy ten popijając piwo, przyglądał się przez poręcz pokładu falom.

— Życzę smacznego, panie doktorze!

— Dziękuję panu, panie Gelbke.

— Czy można?

— Ależ proszę.

Mały staruszek przysiadł się do stolika lekarza.

— Wspaniały wieczór — prawdopodobnie pogoda utrzyma się aż do Liverpoolu.

— Dobrzeby to było — opowiedział Burger — wypuszczając wielkie kłęby dymu z cygara.

Nastąpiła mała pauza, po której Gelbke nagle zagadnął:

— Pan zapewne już w Berlinie znał pannę Firnu?

— Ja? nie! A z czegoż pan to wnosi?

— Tak przypuszczałem, ponieważ między wami panuje taki serdeczny stosunek. A więc nie?

— Nie, poznałem ją dopiero tu na okręcie.

— Rzadka piękność.

— Największy zazdrośnik musi to przyznać.

— A jak miłe usposobienie, jak serdecznie zajmuje się tym małym kaleką, który, nawiasem powiedziawszy, jest mimo swej ułomności dosyć miłym dzieciakiem. Na niektóre pytania wcale rozumnie odpowiada.

— Czy pan zauważył różnicę w odpowiedziach, kiedy pytałem go dzisiaj o matkę?

— Jaką różnicę?

— Między „mama” a „ana”, dwa razy powiedział wyraźnie „ana”, a więc wiedział, co mówi. Dzieci zwykle opuszczają litery, które sprawiają im trudność w wymowie, a trudniejsze słowa wogóle zmieniają. Co on rozumiał przez słowo „ana”?

— Ana? może Anna, albo Alma?

— Alma? to możliwe. Może takie imię nosi pani Haynau. Mąż jej pewnie ją tak nazywa, a dzieciak widocznie słyszał to nieraz. W uboższych rodzinach